

SPÓŁECZNO-POLITYCZNE PRZESŁANKI ROZWOJU SZKOLNICTWA WYŻSZEGO NA ZIEMIACH ZACHODNICH

Przywykliśmy już do tego, aby rozwój różnych form szkolnictwa, w tym także szkolnictwa wyższego, rozpatrywać jako jeden z najważniejszych elementów rewolucji kulturalnej, znamionującej proces przechodzenia od kapitalistycznego systemu społecznego do ustroju socjalistycznego.

Postulat głoszący potrzebę czy zgoła konieczność zapewnienia wszystkim obywatelom możliwości nieskrępowanego dostępu do źródeł wiedzy i nauki znajduje w naszych warunkach trojaki uzasadnienie. Po pierwsze — nawiązując do tradycji najstarszych demokratycznych i utopijno-socjalistycznych lub komunistycznych ruchów społecznych, dla których postulat powszechności nauczania stanowił przede wszystkim zasadę etyczną, uważamy, iż od urzeczywistnienia tego postulatu zależy to, czy ideały humanizmu socjalistycznego będą w pełni respektowane. Po drugie — uważamy się za spadkobierców rewolucyjnego proletariatu, dla którego zasada upowszechnienia oświaty była, a w krajach kapitalistycznych nadal jest, jednym z najważniejszych programowych haseł politycznych. W ideologii marksizmu-leninizmu rewolucyjny ruch robotniczy znajdował i nadal znajduje racjonalne uzasadnienie potrzeby opanowywania nauki jako środka, za pomocą którego ludzie niezależniają się w coraz wyższym stopniu od przyrody i podporządkowują sobie siły, determinujące rozwój społeczny oraz ich wzajemne międzyludzkie obcowanie. Wreszcie — po trzecie, od czasu powstania obozu państw socjalistycznych, kiedy pokojową rywalizację z krajami kapitalistycznymi uznano za najbardziej sensowną, zaś w czasach nam współczesnych bodaj za jedyną możliwą formę walki o zwycięstwo socjalizmu w skali światowej — rozwój nauki i upowszechnienie wiedzy traktuje się jako nieodzowny warunek przyspieszenia postępu technicznego i podniesienia wydajności pracy, gdyż — jak wiadomo — ten właśnie czynnik ostatecznie decydował zawsze o wyższości kolejnej formacji społeczno-gospodarczej nad historycznie wcześniejszymi systemami polityczno-ekonomicznymi.

Może stosunkowo najrzadziej, a w każdym razie — jak sądzę — najmniej konkretnie rozpatrywano dotąd kwestię rozwoju szkolnictwa, w szczególności także szkolnictwa wyższego, pod kątem widzenia roli, jaką ma ono do spełnienia w społeczeństwie budującym socjalizm jako czynnik zrównania społecznego. W miarę jak przybliża się i konkretyzuje w państwie socjalistycznym wizja ustroju bez antagonistycznych klas ekonomicznych, zaczynamy dostrzegać coraz wyraźniej fakt, iż uspołecznienie środków wytwarzania nie likwiduje zjawiska wszelkiej nierówności między ludźmi.

Nierówność ta istnieje w postaci pewnych różnic w usytuowaniu materialnym poszczególnych grup ludności, przy czym socjalizm, realizujący zasadę: „każdemu według pracy”, różnice te do czasu niejako uświeca i petryfikuje. Nierówność ta istnieje w postaci zróżnicowanej struktury zawodowej, przy czym ranga społeczna określonego zawodu bywa z reguły odmiennie wartościowana przez opinię publiczną, przez czynniki rządzące i przez ludzi do danego zawodu przynależnych. Społeczeństwo nasze nie jest egalitarnym również i w tym sensie, że w zależności od stopnia aktywności społecznej i zaangażowania w życiu politycznym, a to zależy w dużej mierze od wyznawanego światopoglądu i wszystkich związanych z tym powikłań natury psychospołecznej, poszczególni osobnicy zajmują różne pozycje społeczne i kreują różne role społeczne, co z kolei pociąga za sobą zróżnicowanie skali prestiżu społecznego. Źródłem nierówności między ludźmi jest także znany nam już dzisiaj nie tylko z reportaży prasowych i z własnych doświadczeń życiowych, lecz również z naukowych analiz socjologicznych, nadal jednak niedostatecznie doceniany, fakt istnienia w społeczeństwie socjalistycznym różnych grup nieformalnych: rozmaitych ugrupowań, elit, klik itp., nie mieszczących się wprawdzie w prawnie usankcjonowanym schemacie instytucji, funkcji i stanowisk, ale tym niemniej bardzo wpływowych i odgrywających w różnych dziedzinach naszego życia znacznie poważniejszą rolę niż może się to na pierwszy rzut oka wydawać.

Stwierdzony powyżej fakt, iż społeczeństwo socjalistyczne nie jest pod względem struktury społecznej homogeniczne skłania wielu socjologów zachodnich, zajmujących się zagadnieniem uwarstwienia społecznego, do powątpiewania w to, czy w ogóle możliwe jest zbudowanie ustroju sprawiedliwości społecznej, skoro — jak świadczyć ma o tym przykład państw socjalistycznych — nie udało się tu usunąć zjawiska nierówności społecznej. W każdym razie — zdaniem wspomnianych socjologów, do których zalicza się m. in. czołówka zachodniemieckich specjalistów w dziedzinie nauk społecznych — likwidacja prywatnej własności środków produkcji nie jest tą reformą społeczną, którą należałoby uznać za nieodzowną dla stworzenia społeczeństwa, w którym zatriumfowałaby zasada równości praw i obowiązków.

Nie tu miejsce na wyczerpującą polemikę z tymi poglądami, które niezależnie od subiektywnych przekonań poszczególnych ich wyznawców — niejednokrotnie są to szczerzy demokraci — faktycznie przyczyniają się do utrwalenia kapitalistycznego ładu społecznego i zniekształcania obrazu stosunków społecznych w tych krajach, w których wielcy potentaci finansowi i przemysłowi nadal odgrywają decydującą rolę w kształtowaniu najważniejszych dziedzin życia narodów, nawet wówczas, kiedy w wyniku wzrostu funkcji kontrolnych państwa i instytucji reprezentujących opinię publiczną ich samowola została w znacznej mierze ograniczona. Chodzi nam w tej

chwili o podkreślenie faktu, iż propagując idee egalitaryzmu socjalistycznego bądź to — tak często rzecz się miała w okresie stalinizmu — na przekór empirycznej prawdzie identyfikowaliśmy zastaną rzeczywistość społeczną, pełną konfliktów i spięć, z tymi idealnymi wzorami harmonijnego współżycia ludzkich kolektywów, które urzeczywistni dopiero zwycięstwo komunizmu, bądź też — tak rzecz ma się często obecnie — hołdując zbyt gorliwie swoistemu pozytywizmowi, który zresztą bezsprzecznie stanowi skuteczne i niezwykle pożądane *antidotum* przeciwko skłonnościom do idealizowania czy mitologizowania rzeczywistości, zaczynamy odnosić się z pewną dozą sceptycyzmu, który łatwo może przerodzić się w cynizm do wszelkich refleksji na temat idealnego społeczeństwa przyszłości, społeczeństwa równości i sprawiedliwości społecznej.

Tymczasem refleksje takie są jak najbardziej uprawnione i ze względów propagandowych (w dobrym tego słowa znaczeniu) oraz wychowawczych wręcz konieczne, gdyż żaden człowiek nie zechce na dłuższą metę świadczyć na rzecz dnia dzisiejszego usług, jakich od niego oczekuje naród i państwo, chociażby one faktycznie odpowiadały także jego doraźnym interesom, jeśli pozbawi się go wiary w lepszą przyszłość. Nie chodzi tu oczywiście o dowolne spekulacje i czcze prorocstwa, które przy zachowaniu pozorów tzw. „wybiegania myślą naprzód” są w istocie reklamierskimi trickami lub konformistycznym potakiwaniem. Chodzi natomiast o wyciągnięcie wniosków z faktu, iż niewątpliwa wyższość socjalistycznego ładu społecznego nad kapitalistycznym polega m. in. na tym, że dzięki likwidacji zjawiska prywatnego przywłaszczenia system ten jest bardziej przejrzysty; mechanizm różnicowania się struktury społecznej, formowania się różnych dezintegrujących społeczeństwo warstw i „grup interesów” można tu dokładniej obserwować i wnikliwiej analizować i, co najważniejsze, można też dzięki temu łatwiej wynaleźć i zastosować środki społeczne i administracyjne służące usuwaniu tych przejawów nierówności społecznej, które rodzą sprzeczności drastycznie godzące w socjalizm lub łagodzeniu tych, które choć sprzeczne z „naturą” socjalizmu w pewnym okresie z określonych powodów mogą lub nawet muszą być tolerowane.

Rozwój różnych form szkolnictwa jest jednym z tych środków, który w warunkach socjalizmu może niezwykle skutecznie wpływać na procesy niwelowania różnego rodzaju w sferze obiektywnej i świadomościowej istniejących przegród i barier społecznych, na eliminowanie przejawów nieufności, zawiści, chciwości itp. uczuć sprzecznych z socjalistycznymi ideałami braterstwa, solidarności i życzliwości we współżyciu międzyludzkim.

W krajach rozwiniętego kapitalizmu, m. in. w NRF, w propagandzie masowej i w publikacjach naukowych coraz częściej pojawia się ostatnio teza, w myśl której spełnienie tego odwiecznego marzenia klas upośledzonych, jakim było ustanowienie równości społecznej, staje się współcześnie możliwe dzięki tzw. „cudom gospodarczym”. Mianowicie rozwój gospodarczy krajów

wysoko uprzemysłowionych stworzył rzekomo przesłanki, umożliwiające zaspokojenie potrzeb materialnych ludzi pracy w takim stopniu, że praktycznie rzecz biorąc wszyscy oni mogą stać się kapitalistami. Już obecnie mówi się np. w NRF o zniknięciu proletariatu i przekształceniu się go w tzw. klasę średnią, a nie brak optymistów zapowiadających, iż niedaleki jest już czas, kiedy warstwa ta tak dalece obrośnie w dobrobyt, że całe tamtejsze społeczeństwo można będzie nazwać społeczeństwem właścicieli. Bardziej roztropni spośród propagatorów tej tezy (jawnych jej przeciwników trudno byłoby wymienić) — nawiasem mówiąc tezy politycznie niesłychanie naiwnej a teoretycznie prymitywnej, ale tym niemniej urzekającej szerokie rzesze ludzi pracy, a zwłaszcza mieszczaństwa w NRF — wyrażają obawę, iż upowszechnienie kultu złotego cielca może doprowadzić z czasem do kompletnego wyjałowienia intelektualnego i zdeprawowania moralnego społeczeństwa.

Już w tej chwili wskazuje się na takie niepokojące skutki nieprzytomnej pogoni za pieniędzmi, jak zubożenie szerokich mas na sprawy publiczne. Objawia się ono m. in. w spadku liczby obywateli zaangażowanych na niwie społecznej, uczestniczących w wyborach, w szczególności do władz municypalnych, protestujących czynnie przeciwko drastycznym nadużyciom władzy itd. Dążność do jak najszybszego wzbogacenia się, u podłoża której leży zresztą wyznawana przez ogół prostych ludzi i dorobkiewiczów, ale niechętnie cytowana przez kierownicze czynniki polityczne i gospodarcze oraz przez badaczy w dziedzinie społecznej, sceptyczna dewiza: „Cud może się zdarzyć tylko raz” — odbija się też niekorzystnie na zainteresowaniach kwestią rozwoju nauki i oświaty. Znajduje to wyraz w niechęci do podejmowania studiów wyższych przez młodzież, która zarówno z inicjatywy własnej, jak i z poduszczenia rodziców, pragnie jak najwcześniej zarobkować oraz w indolencji władz i instytucji państwowych i samorządowych oraz partii politycznych przy rozwiązywaniu praktycznych problemów szkolnictwa, w szczególności szkolnictwa wyższego. Ujawniło się to m. in. w związku z pilną sprawą od lat dyskutowanej nadal tkwiącej w martwym punkcie reformy systemu nauczania w NRF, sprawą utworzenia nowego uniwersytetu w Bremie, który rodzi się już od kilku lat przy powszechnym poparciu kompetentnych czynników, ale jak dotychczas nie ujrzał jeszcze światła dziennego, itp. Rzecz przy tym znamienita, nawoływaniom do zmiany postaw wobec problemów szkoły i upowszechnienia oświaty towarzyszy z reguły ostrzeżenie, iż właśnie na tym odcinku państwa socjalistyczne poszczycić się mogą poważnymi osiągnięciami, które w miarę wzrostu znaczenia nauki w nadchodzącej erze automatyzacji i zastosowania energii termojądrowej w produkcji dóbr użytkowych mogą z czasem rozstrzygnąć rywalizację kapitalizmu z socjalizmem o zapewnienie jak najwyższego dobrobytu materialnego ludności na korzyść tego ostatniego.

Byłoby niewybaczalnym błędem taktycznym, a z punktu widzenia strategii politycznej szkodliwą krótkowzrocznością, która, niestety, cechuje nie-

których działacze w naszym kraju, gdybyśmy jako kraj socjalistyczny podjęli współzawodnictwo z krajami kapitalistycznymi, dajmy na to — biorąc przykładowo — z NRF, tylko na polu gospodarczym, na którym kraj ten, głównie dzięki lepszym pozycjom wyjściowym, wyraźnie nas wyprzedza, a nie starali się zwiększyć przewagi, jaką dzięki własnym zasługom i zaniedbaniom przeciwnika już obecnie uzyskaliśmy na polu rozwoju szkolnictwa wyższego. Tym bardziej, że — jak już przed chwilą zaznaczono — w ciągu najbliższych dziesięcioleci o przewadze ekonomicznej i wzroście zamożności państwa decydować będzie poziom wykształcenia jego obywateli.

W świetle tego co powiedziano dotychczas na temat znaczenia rozwoju szkolnictwa wyższego dla przygotowania przesłanek zrównania społecznego i szybszego tempa wzrostu gospodarczego, za szczególnie ważne należy uznać zagadnienie rozwoju szkolnictwa zaocznego. Fakt istnienia tego typu studiów w znacznym stopniu niweluje niezasłużone często uprzywilejowanie tej części młodzieży, która przyjęta na studia stacjonarne na podstawie tak niedoskonałego narzędzia selekcji, jakim jest egzamin wstępny, nie spełnia oczekiwań społeczeństwa, w stosunku do tych osób, które na skutek okoliczności losowych nie mogły w normalnym czasie podjąć studiów, mimo że z racji uzdolnień i innych walorów osobistych i społecznych są do nich jak najbardziej predestynowane. Ponadto stworzenie wszystkim pracującym możliwości zdobywania wyższego wykształcenia stwarza klimat moralny sprzyjający wprowadzaniu w życie jednolitych i przejrzystych kryteriów wyróżnienia społecznego. Jeśli stwierdzamy, iż kryterium tym w warunkach socjalizmu powinna być ilość, a zwłaszcza jakość wykonywanej pracy, i jeśli jednocześnie konstatujemy, że jakość pracy zależy (oczywiście w warunkach osiągniętej stabilizacji politycznej — w warunkach walki o władzę na pierwszy plan wysuwają się bowiem kryteria ideowo-polityczne) przede wszystkim od posiadanych umiejętności i kwalifikacji zawodowych, to w takim razie należy w państwie socjalistycznym stworzyć wszystkim obywatelom możliwie rozległe, chciałoby się rzec — nieograniczone możliwości zdobycia wykształcenia na każdym, również i na najwyższym szczeblu.

Dotychczasowe moje wywody można by na dobrą sprawę zamknąć w dwóch może trywialnie brzmiących, ale — jak sądzę — trafiających w sedno sprawy zdaniach: po pierwsze — zwycięstwo socjalizmu nawet w kraju ekonomicznie niedorozwiniętym stwarza — jak świadczy o tym chociażby porównanie Polski z NRF — możliwość upowszechnienia oświaty i nauki w stopniu nieznanym nawet wysoko zaawansowanym w rozwoju gospodarczym i cywilizacyjnym krajom kapitalistycznym; po drugie — w imię jak najszybszego urzeczywistnienia podstawowych ideałów socjalizmu opłaca się zużytkować maksymalnie owe możliwości, m. in. przez przeznaczenie odpowiednio wysokiej części dochodu narodowego na rozwój szkolnictwa, w tym także szkolnictwa wyższego.

Oczywiście wszystkie powyżej wyłuszczone racje należałoby poczytać za czystą demagogię, gdyby abstrahowały one od całokształtu sytuacji politycznej, społecznej i ekonomicznej państwa socjalistycznego. Można by na przykład z powodzeniem dowodzić słuszności zasady, iż określone inwestycje szkolne nie ustępują ważnością inwestycjom przemysłowym o kluczowym dla gospodarki narodowej znaczeniu, ale już nonsensem byłaby próba przekonywania kogokolwiek, że w ogóle korzystniej jest rozwijać budownictwo szkolne niż przemysłowe. Konieczne jest tu zachowanie rozsądnych proporcji, przy czym zdefiniowanie pojęcia rozsądku jest w tym wypadku daleko trudniejsze niż w przypadku powszednich ludzkich poczynań, gdyż specjaliści od planowania w dziedzinie gospodarczej i oświatowej występują najczęściej, na przekór ostrzeżeniu zawartemu w znanym przysłowiu, w charakterze proroków we własnym domu. Decyzje podejmowane w pionie ekonomiczno-finansowym mają, oczywiście, tę przewagę nad dezyderatami wysuwanymi przez rzeczników szkolnictwa, że ci ostatni występują koniec końców w stosunku do pierwszych w charakterze petentów. I dlatego też dotychczasowe doświadczenia zdają się raczej wskazywać na to, że inwestycje szkolne nie nadążają za rozwojem inwestycji przemysłowych, z wyraźną szkodą dla efektywności ekonomicznej, nie mówiąc już o trudno wymierzalnych stratach w efektywności społecznej wielu przedsięwzięć inwestycyjnych w Polsce.

Ale nawet gdyby zjawisko nienadążania rozwoju szkolnictwa za potrzebami, zgłaszanych pod jego adresem przez inne resorty, nie przedstawiało się tak niekorzystnie, jak to faktycznie ma miejsce, istniałby problem racjonalnego dysponowania środkami przeznaczonymi przez państwo na rozbudowę szkół wyższych. Jeśli się dobrze orientuję Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego otrzymało w ostatnim czasie 30 ofert dotyczących budowy w różnych miastach Polski nowych uniwersytetów i szkół akademickich, nie licząc wniosków istniejących uczelni o ich dalszą rozbudowę. Nawet przed wysłuchaniem referatu ministra Golańskiego, który te sprawy obszerniej i kompetentnie naświetli, można niejako z góry przesądzić, iż zaspokojenie wszystkich zgłaszanych przez tzw. teren zapotrzebowań na powstanie nowych uczelni jest niemożliwe, a gdyby nawet było możliwe w tym sensie, że dysponowalibyśmy odpowiednim zasobem środków materialnych i kadrowych, to i wówczas nie byłoby celowe.

Zadaniem naszej sesji jest zastanowienie się nad tym, w jakim stopniu z punktu widzenia ogólnych zadań, jakie winno spełnić szkolnictwo wyższe w państwie socjalistycznym — pożądanym byłoby przeznaczenie poważnej części środków stojących do dyspozycji resortu na rozwój szkolnictwa wyższego na Ziemiach Zachodnich. Tytuł referatu i to, co w nim dotychczas powiedziano, pozwala się domyślać, iż argumenty ekonomiczne, choć niewątpliwie ważne, a nawet w ostatniej instancji wręcz decydujące, nie powinny stanowić, zwłaszcza wtedy kiedy pojmuje się je zbyt wąsko, tzn.

w oderwaniu od argumentów politycznych i socjologicznych, dostatecznego uzasadnienia dla decyzji o budowie czy rozbudowie szkół wyższych na określonym terytorium.

Jednym z argumentów najczęściej pojawiających się w dyskusji nad planem perspektywicznym rozwoju szkolnictwa wyższego w Polsce jest twierdzenie, iż bardziej opłaca się rozbudowa istniejących, dobrze zagospodarowanych uczelni aniżeli budowa nowych szkół. Trudno polemizować z tą tezą, skoro na poparcie jej słuszności przytacza się przekonywające wskaźniki ekonomiczne. Jeśli jednak teza ta stałaby się dyrektywą państwową, wówczas perspektywy rozwoju szkolnictwa wyższego na ZZ nie przedstawiałyby się zbyt korzystnie. Na znacznieszą rozbudowę liczyć mogłyby bowiem wówczas tylko dwa najsilniejsze ośrodki uczelniane na ZZ, a mianowicie Wrocław i Gdańsk, co pogłębiłoby jeszcze bardziej dysproporcję istniejącą między nimi, a pozostałymi województwami Ziemi Zachodnich. Chodzi mianowicie o to, że liczba globalna studentów w szkołach wyższych podlegających Ministerstwu Szkolnictwa Wyższego oraz liczba przypadająca na 10 000 mieszkańców — jak wynika z danych opracowanych przez Pracownię Ustroju i Organizacji Oświaty PAN — stoi na ZZ w bezpośrednim związku z istnieniem w danym województwie wyższych uczelni oraz z ich koncentracją. I tak województwo gdańskie i wrocławskie oraz w dużym odstępnie za nimi województwo szczecińskie posiadały, według danych z 1960 r., największą na ZZ liczbę studentów na 10 000 mieszkańców, następnie już znacznie mniej, bo 18,65 i 17,35 studentów posiadały województwa olsztyńskie i opolskie, natomiast nie posiadające żadnej wyższej uczelni województwa zielonogórskie i koszalińskie wykazywały 16,42 i 15,58 studenta na 10 000 mieszkańców. Zauważmy od razu, że woj. szczecińskie wraz z wszystkimi czterema wymienionymi na końcu województwami ZZ posiadają zarazem najniższy wskaźnik liczby studentów przypadających na 10 000 mieszkańców w Polsce. W województwach białostockim, kieleckim i rzeszowskim sytuacja pod tym względem przedstawia się np. o wiele lepiej. W ogóle warto zaznaczyć, iż we wszystkich siedmiu wymienionych województwach zachodnich zamieszkuje stale 18⁰/₁₀₀ ogółu studiujących w Polsce. Niemal dokładnie taka sama liczba studentów mieszka na stałe w czterech województwach wschodnich: lubelskim, białostockim, kieleckim i rzeszowskim, uchodzących przecież za najbardziej pod względem kulturalnym zaniedbane tereny w Polsce.

Z przytoczonych powyżej danych wynika, iż sugerowaliśmy się zbyt liczba utworzonych na Ziemiach Zachodnich po wojnie szkół typu akademickiego, chlubiliśmy się — i słusznie — znaczną liczbą studentów zgrupowanych w tych uczelniach, nie zwróciliśmy natomiast uwagi na to, iż cechą charakterystyczną ośrodków uczelnianych na Ziemiach Zachodnich jest to, że wykazują one najmniejszy w porównaniu z innymi ośrodkami odsetek studentów miejscowego pochodzenia. Podczas gdy w Warszawie — wg cyto-

wanych już danych PAN — studenci w 73^{0/0} rekrutują się z terenu woj. warszawskiego, w Łodzi w 66,8^{0/0} z woj. łódzkiego, w Poznaniu w 59,6^{0/0} z woj. poznańskiego i w Krakowie w 54,6^{0/0} z woj. krakowskiego, to w Gdańsku studiuje na tamtejszych uczelniach 49,6^{0/0} młodzieży pochodzenia miejscowego, we Wrocławiu 48,9^{0/0}, zaś w szczecińskim ośrodku uczelnianym — 37,3^{0/0}. Jeszcze gorzej przedstawia się sprawa w ośrodkach jednouczeniowych. Podczas gdy np. Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu i Akademia Medyczna w Białymstoku czerpią narybek głównie z najbliższej okolicy, to Wyższa Szkoła Rolnicza w Olsztynie i Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Opolu rekrutują studentów niemal z całej Polski. Można by oczywiście okoliczność tę potraktować jako z wielu względów korzystną, przyczynia się bowiem ona do przełamania partykularyzmów dzielnicowych, gdyby nie obawa, że popularność niektórych uczelni na Ziemiach Zachodnich wśród młodzieży z pozostałych dzielnic Polski spowodowana jest zaniżonymi wymaganiami, stawianymi kandydatom ubiegającym się o przyjęcie na studia.

W każdym razie wydaje się rzeczą bezsporną, iż na odcinku rozwoju szkolnictwa wyższego Ziemi Zachodnie będą w najbliższych latach wymagały znacznej pomocy ze strony państwa, być może proporcjonalnie większej niż ośrodki uczelniane w innych częściach kraju. Nie musi to być koniecznie pomoc w postaci tworzenia nowych ośrodków akademickich, co najczęściej postulują lokalni działacze z różnych miast Ziemi Zachodnich, nie zawsze licząc się z aktualnymi możliwościami, zwłaszcza kadrowymi. Z całą pewnością pilniejszą jest sprawa wzmocnienia istniejących uczelni, w szczególności tych, które borykają się z różnymi trudnościami. Na przykład Politechnika Szczecińska wykazywała jeszcze rok temu deficyt samodzielnych pracowników naukowych w wysokości 62^{0/0}, a Wyższa Szkoła Rolnicza we Wrocławiu 45^{0/0}.

Należy też wziąć pod uwagę fakt, że liczba kandydatów do szkół wyższych zależy od rozwoju szkolnictwa ogólnokształcącego. Pod tym względem, znowu z wyjątkiem woj. wrocławskiego i gdańskiego, województwa ZZ znajdują się w sytuacji upośledzonych w stosunku do innych rejonów kraju. Podczas gdy w siedmiu województwach zachodnich istnieje 196 liceów ogólnokształcących, z czego na najlepiej usytuowane województwa wrocławskie i gdańskie przypada 92, to w czterech wymienionych przedtem województwach wschodnich jest ich 183. Ilość kandydatów na studia, rekrutowanych z liceów ogólnokształcących z obydwu części kraju była w r. 1960 prawie identyczna: w województwach zachodnich wynosiła ona 4 223, w województwach wschodnich 4 164, z tym, że ludność ZZ jest o ponad milion osób liczniejsza.

Wszystko przemawia więc za tym, aby w planie perspektywicznym przewidzieć znacznie szybszy niż dotychczas rozwój szkolnictwa na ZZ i to nawet nie w imię tego, by stały się one terenem przodującym, co w obliczu rozwijanej systematycznie propagandy odwetowców niemieckich miałyby kapi-

talne znaczenie polityczne, lecz w imię podciągnięcia ich przynajmniej do poziomu przyjętego za przeciętny w odniesieniu do całego kraju.

Niski stosunkowo odsetek młodzieży studiującej zamieszkałej na ZZ jest tym bardziej niepokojący, że w porównaniu do innych wschodnich i centralnych województw, Ziemia Zachodnie wykazuje wysoki stopień urbanizacji. Wiadomo zaś, że liczba zgłoszeń na studia absolwentów liceów ogólnokształcących, stanowiących główny rezerwuar rekrutacji kandydatów na wyższe uczelnie, jest w dużych i średnich miastach zazwyczaj znacznie większa niż w małych miasteczkach i wsiach. Problem wymaga z pewnością bardziej drobiazgowych empirycznych badań, wydaje się jednak zupełnie prawdopodobnym twierdzenie, że jedną z przyczyn słabszego niż gdzie indziej zainteresowania młodzieży z ZZ sprawą zdobycia wyższego wykształcenia jest jej rzutkość, ekspansywność i ambicja. Dotychczas cechy te wartościowaliśmy zwykle nadzwyczaj pozytywnie, nie licząc się zupełnie z tym, że mogą one być także źródłem zjawisk niepożądanych i kłopotliwych.

Zaznaczająca się mianowicie od pewnego czasu w środowiskach młodzieżowych w całym kraju dążność do jak najszybszego usamodzielnienia się, czego jaskrawym przykładem było 16 000 miejsc nieobsadzonych w liceach ogólnokształcących w pierwszym terminie bieżącego roku, na ZZ występuje ze szczególną siłą. Sprzyja tym tendencjom większe na ZZ aniżeli w pozostałej części kraju tempo rozwoju przemysłu oraz szersze możliwości wyboru różnych atrakcyjnych, chociażby dlatego że nie spotykanych gdzie indziej, zawodów, często nie wymagających długotrwałego szkolenia, ale tym niemniej cieszących się, zwłaszcza w opinii rówieśników znacznym prestiżem — jak np. służba w marynarce handlowej, w rybołówstwie morskim, praca w stoczni okrętowej itp. Przy tym trzeba liczyć się z faktem, że naśladownictwo społeczne w skupiskach młodzieżowych na ZZ odgrywa większą rolę niż w jakiegokolwiek innej dzielnicy Polski, gdyż odsetek ludzi młodych jest tu wyjątkowo duży.

Trudno przewidzieć wszystkie konsekwencje tych tendencji w przypadku, gdyby nie udało się ich na czas zahamować, albo raczej — ściśle mówiąc — skierować w nurt pożądaną dla przyszłości tych ziem i całego kraju. Paradoksalność sytuacji polega w każdym razie na tym, że te same właściwości psychospołeczne charakteryzujące społeczeństwo ZZ, które — jak to wielokrotnie stwierdzali badacze dokonujących się tam procesów integracyjnych — sprawiają, że jest to w tej chwili pod wieloma względami najbardziej prężna i ruchliwa i poniekąd najbardziej nowoczesna część narodu, nagle od innej strony rozpatrywane, ukazują się naszym oczom jako po części własne przeciwieństwo. Okazuje się, że spistość wewnętrzna społeczeństwa ZZ — osiągnięta w wyniku obfitującego w liczne dramatyczne czy zgoła tragiczne momenty długoletniego współżycia grup różniących się początkowo pochodzeniem regionalnym, wyznawanymi wzorami społecznymi i obyczajowymi, poglądami politycznymi i zasadami moralnymi — może w miarę

upływu czasu ulec rozprzężeniu. Źródłem tego wewnętrznego rozdarcia może stać się mianowicie omówione w pierwszej części referatu, zupełnie realne w przypadku zaniedbania sprawy umasowienia oświaty i nauki, niebezpieczeństwo zaniku wspólnych jednoczących wszystkich obywateli socjalistycznego państwa ideałów społecznych oraz jednolitych kryteriów wartościowania.

Ostatnio ukazały się w czasopiśmie kulturalno-społecznych alarmistyczne artykuły na temat kształcenia kadr specjalistów z wyższym wykształceniem, w których obok wielu rozsądnych propozycji znaleźć można zgola fantastyczne pomysły dotyczące m. in. rekrutacji młodzieży do liceów ogólnokształcących i wyższych uczelni. Co prawda nierzadko bywa tak, że fantastyczne rozwiązania łatwiej się przyjmują niż najprostsze i realne propozycje. Do tych ostatnich zaliczyłbym dezyderat wielokrotnie, ale jak dotąd bezskutecznie przy różnych okazjach powtarzany, aby ogólnie ustalany system płac i bodźców ekonomicznych zreformować stopniowo, lecz konsekwentnie, w taki sposób, by skutecznie zachęcał on ludzi do zdobywania wykształcenia. Ponadto sporą część tego wysiłku i energii, jaką zużywa się w licznych ośrodkach, m. in. także na ZZ, na opracowywanie koncepcji tworzenia nowych uczelni i instytutów naukowych można by nieraz z lepszym pożytkiem zużyć na obmyślenie sposobów polepszenia bazy materialnej istniejących szkół, na usprawnienie metod informacji na temat istniejących, a często niewykorzystywanych możliwości studiowania oraz na opracowanie systemu pomocy dla studentów pracujących zawodowo w celu zmniejszenia ich odsiewu.

Dla zrealizowania zamysłów tego typu jak rozbudowa ośrodków uczelnianych, niezbędny jest, zwłaszcza w systemie demokratycznym, odpowiedni klimat w środowisku, które bezpośrednio związane z rozwojem szkolnictwa wyższego z natury rzeczy w mniejszym lub większym stopniu wpływa na podjęcie odpowiedniej decyzji ze strony czynników zarządzających zasobami państwa. Jest tajemnicą poliszynela, że ustalenie w obrębie danej uczelni jednomyślnej opinii pracowników naukowych na temat sprawy rozwoju szkoły natrafia z reguły na niezliczone trudności, żeby przypomnieć chociażby odwieczny spór między przyrodnikami a humanistami, albo przedstawicielami nauk eksperymentalnych i teoretycznych o to, która z dziedzin nauki jest ważniejsza i zasługuje na uprzywilejowanie w zakresie inwestycji, kadr, wyposażenia zakładów, bibliotek itp.

Jeszcze ostrzejsze kontrowersje występują, w formie jawnej lub ukrytej, między poszczególnymi uczelniami i ośrodkami uczelnianymi, ilekroć trzeba dokonać wyboru najbardziej potrzebujących spośród potrzebujących. Nie przyczynia się to oczywiście do odtworzenia w świadomości opinii publicznej i jej organów oraz w świadomości osób władnych podejmować decyzje, prawdziwego obrazu sytuacji, w jakiej znajduje się wyższe szkolnictwo. Najczęściej rezultatem takiej licytacji, nierzadko gorszącej, a w każdym razie nie zawsze licującej z cnotą obiektywizmu, tak wysoko cenioną w świecie

naukowym, jest upowszechnienie skrajnych opinii — bądź to przesadnie optymistycznych, bądź też przesadnie pesymistycznych, które mają tę właściwość, że się wzajemnie prowokują. Nie dziw, że ilekroć zachodzi konieczność podjęcia na podstawie tak diametralnie różnych diagnoz praktycznych środków naprawy istniejącego stanu rzeczy, stosuje się zazwyczaj tylko półśrodki, z których ostatecznie nikt nie jest zadowolony.

Szkolnictwo wyższe na ZZ jest w tej wyjątkowo korzystnej sytuacji, że jeśli idzie o ocenę stanu jego rozwoju i określenie jego doraźnych i długofalowych potrzeb, to — jak sądzę — pracownicy naukowcy, reprezentujący wszystkie bez wyjątku ośrodki uniwersyteckie w Polsce, zdolni są zdobyć się nie tylko na bezstronność, ale nawet na wielkoduszność. Za uprzywilejowaniem szkolnictwa wyższego na Ziemiach Zachodnich przemawia bowiem zrozumienie naszej narodowej i państwowej racji stanu i odczuwany przez każdego Polaka głęboki sentyment do tych ziem.